

NOWA KONFEDERACJA nr 2 (14)/2014

INTERNETOWY TYGODNIK IDEI

9–15 stycznia

cena: 0 zł



**WŁADZA
SONDAŻY**

W numerze:

Opinia publiczna nie istnieje

Pierre Bourdieu 3

Sondażowe placebo

Maciej Gurtowski 9

„Polska 49”, czyli Millera strzał w dziesiątkę

Bartłomiej Radziejewski 13

Łotwa ucieka w euro

Łukasz Czernicki 15

Zbroimy się bez strategii

Tomasz Szatkowski 17

Książka Zmęczona

Piotr Woyke 21

Opinia publiczna nie istnieje



PIERRE BOURDIEU

Klasyk współczesnej socjologii,
twórca pojęcia „przemoc symboliczna”

Każde badanie opinii publicznej zakłada, że wytworzenie opinii jest w zasięgu każdego. Ryzykując urażenie uczuć naiwnie demokratycznych, zamierzam kontestować ten postulat.

Sondaż jako źródło legitymizacji

Chciałbym wstępnie sprecyzować, że moim zamiarem nie jest zadenuncjowanie w sposób prosty i mechaniczny sondaży opinii, lecz rygorystyczna analiza ich działania oraz funkcji. Co oznacza zakwestionowanie trzech postulatów, które leżą u ich podstaw. Każde badanie opinii publicznej zakłada, że każdy może mieć opinię; lub, wyrażając to nieco inaczej, że wytworzenie opinii jest w zasięgu każdego. Ryzykując urażenie uczuć naiwnie demokratycznych, zamierzam kontestować ten pierwszy postulat. Drugi postulat: zakłada się, że wszystkie opinie są równoważne. Myślę, że można wykazać, iż tak nie jest oraz że kumulacja opinii, które nie posiadają tej samej realnej siły, prowadzi do wytworzenia artefaktów pozbawionych sensu. Trzeci niewypowiedziany postulat stwierdza, iż w prostym fakcie zadawania tego samego pytania wszystkim zawarta jest domyślna hipoteza, że istnieje konsensus na temat problemów, lub mówiąc inaczej, iż istnieje zgoda co do pytań, które zasłu-

gują na to, by zostać zadane. Te trzy postulaty zawierają, tak mi się przynajmniej wydaje, całą serię zniekształceń, które dają się zaobserwować, nawet gdy wszystkie warunki metodologicznego rygoru są spełnione podczas zbierania i analizy danych.

Często stawia się sondażom opinii zarzuty natury technicznej. Na przykład kwestionuje się reprezentatywność próbek. Wydaje mi się, że biorąc pod uwagę środki używane obecnie przez instytuty badania opinii publicznej, ten zarzut jest pozbawiony podstaw. Zarzuca się im również zadawanie pytań zafałszowanych, a raczej fałsz poprzez sposób formułowania pytań: ten zarzut już jest bardziej prawdziwy: często zdarza się, że sugeruje się odpowiedź poprzez sposób zadawania pytań. Choćby, przykładowo, przekraczając elementarną zasadę konstrukcji kwestionariusza, która wymaga, by „dać szansę” wszystkim możliwym odpowiedziom, omijając często w pytaniach bądź w proponowanych odpowiedziach jedną z możliwych opcji bądź proponując kilkakrotnie tę samą opcję odpowiedzi sformułowaną nieco inaczej.

Jest wiele takich zafałszowań i warto się zastanowić na temat warunków społecznych ich powstawania. Przez większość czasu wynikają one z warunków, w których pracują ludzie produkujący ankiety.

(...)

Zagadnienia proponowane w sondażach opinii są podporządkowane interesom politycznym i to wpływa w zdecydowany sposób zarówno na znaczenie udzielonych odpowiedzi, jak i znaczenie, które jest przypisywane publikacji ich wyników. Sondaż w obecnym stanie to instrument działalności politycznej, a jego najważniejszą funkcją jest być może stworzenie złudzenia, że istnieje coś takiego jak opinia publiczna w postaci zsumowania opinii indywidualnych; narzucenia idei, że istnieje coś, co jest czymś w rodzaju średniej opinii lub opinią średnią. „Opinia publiczna”, która przejawia się na pierwszych stronach gazet w postaci procentów („60 proc. Francuzów popiera...”), ta opinia publiczna jest czystą konstrukcją, artefaktem, którego zadaniem jest ukrycie wiedzy o tym, że stan opinii w danej chwili wynika z układu sił, napięć i z tego, że nie ma niczego bardziej niestosownego, by wyrazić ten stan opinii niż liczba w procentach. Wiemy, że każdemu stosowaniu siły towarzyszy dyskurs, który ma legitymizować siłę tego, który ją stosuje; można nawet powiedzieć, że jest on istotą każdego stosunku siły. Tylko wtedy posiada się pełnię siły, kiedy stosunek ten jest, jako taki, ukryty. Mówiąc prościej, polityk to ten, który mówi: „Bóg jest z nami”. Odpowiednikiem „Bóg jest z nami” jest dziś „Opinia publiczna jest z nami”. Podstawowy cel sondażu to: stworzyć ideę, że istnieje jednomyślna opinia publiczna, a więc legitymizować daną politykę i wzmocnić stosunek sił, który ją tworzy lub umożliwia.

Ponieważ już na początku wyłożyłem, co zamierzam powiedzieć na końcu, chciałbym spróbować zarysować bardzo szybko działania, za pomocą których wytwarza się ten efekt konsensusu. Pierwsza operacja, która ma jako punkt wyjścia postulat, że każdy powinien mieć opinię, polega na ignorowaniu braku odpowiedzi. Na przykład zapytacie ludzi: „Czy popieracie rząd Pompidou?”, zbieracie 30 proc. braku odpowiedzi, 20 proc. „tak” oraz 50 proc. „nie”. Możecie powiedzieć: „Odsetek osób nieprzychylnych przewyższa odsetek osób przychylnych rządowi Pompidou”.

**Podstawowy cel sondażu to:
stworzyć ideę, że istnieje
jednomyślna opinia
publiczna, a więc
legitymizować daną politykę
i wzmocnić stosunek sił,
który ją tworzy lub
umożliwia**

No i zostaje wam te 30 proc. Możecie też ponownie przeliczyć odsetek przychylnych i nieprzychylnych, wykluczając brak odpowiedzi. Ten prosty wybór to operacja teoretyczna o znaczeniu fantastycznym, nad którą chciałbym się wraz z wami pochylić. Wyeliminowanie braku odpowiedzi to robienie tego, co się robi podczas procesu elektorального, kiedy są głosy puste albo nieważne; to narzucenie ankiecie opinii filozofii zawartej w ankiecie elektorальной. Kiedy przyjrzymy się temu bliżej, zauważamy, że odsetek braku odpowiedzi jest wyższy wśród kobiet niż mężczyzn; że różnica między kobietami a mężczyz-

nami jest tym większa, im postawiony problem jest bliżej związany z polityką. Inna obserwacja: im bardziej pytanie dotyczy problemów związanych z wiedzą, tym większa jest przepaść między odsetkiem braku odpowiedzi wśród najbardziej i najmniej wykształconych. Odwrotnie, kiedy pytania dotyczą kwestii etycznych, rozwarstwienia według poziomu wykształcenia, są niewielkie (np.: „Czy powinniśmy być surowi wobec dzieci?”). Kolejna obserwacja : im bardziej zadane pytanie wywołuje konflikt wewnętrzny, czyli dotyczy sprzeczności (np. pytanie o sytuacji w Czechosłowacji dla ludzi, którzy głosują na partię komunistyczną), tym bardziej generuje napięcia w danej kategorii i tym częstszy jest brak odpowiedzi wśród ludzi mieszczących się w tej kategorii. W konsekwencji, prosta analiza statystyczna braku odpowiedzi dostarcza nam informacji na temat tego, co oznacza dane pytanie, a także na temat danej kategorii, którą określa zarówno prawdopodobieństwo posiadania opinii, jak i prawdopodobieństwo warunkowe – posiadania opinii przychylniej bądź nieprzychylniej. Z naukowej analizy badań opinii publicznej jasno wynika, że nie istnieją pytania, które nie byłyby reinterpretowane zgodnie z interesami ludzi, którym są zadawane. Imperatywne jest więc zastanowienie się, na które pytanie różne kategorie respondentów myślały, że odpowiadają. Jednym z najbardziej zgubnych efektów sondaży opinii polega na tym, że stawia się ludzi w sytuacji, kiedy muszą odpowiedzieć na pytania, których sobie sami nigdy nie zadali. Choćby pytania oscylujące wokół problemów moralnych, czy to pytania o surowość rodziców, relacji między nauczycielami a uczniami, edukacji autorytarnej i antyautorytarnej itd., problemów. Są tym bardziej postrzegane jako zagad-

nienia natury etycznej, im niżej respondent znajduje się w hierarchii społecznej. Mogą jednak stanowić zagadnienia natury politycznej dla klas wyższych; jeden z efektów sondaży polega na przekształceniu odpowiedzi etycznych w odpowiedzi polityczne poprzez proste narzucenie problematyki.

Właściwie jest kilka prostych zasad, które pozwolą wygenerować odpowiedź. Istnieje coś, co można nazwać kompetencją polityczną w odwołaniu do definicji zarówno arbitralnej, jak i usankcjonowanej, czyli dominującej i ukrytej jako takiej, polityki. Ta kompetencja polityczna nie jest uniwersalnie rozpowszechniona. Podlega wahaniom podobnie jak poziom wykształcenia. Mówiąc inaczej, prawdopodobieństwo posiadania opinii na każdy temat zakładający wiedzę o polityce jest porównywalne do prawdopodobieństwa złożenia wizyty w muzeum. Obserwuje się tu odchylenia fantastyczne: tam, gdzie student zaangażowany w ruch lewicowy widzi piętnaście podziałów na lewo od Zjednoczonej Partii Socjalistycznej¹, kadra kierownicza średniego szczebla nie widzi nic. Podziały na skali politycznej (skrajna lewica, lewica, centrolewica, centrum, centroprawica, prawica, skrajna prawica), które sondaże „nauk politycznych” zakładają jako oczywiste, nimi nie są; określone kategorie społeczne używają tylko małego skrawka skrajnej lewicy; inni używają wyłącznie centrum, inni całej skali. Wybory są w końcu zestawieniem przestrzeni całkowicie różnych ; sumuje się ludzi mierzących w centymetrach z ludźmi mierzącymi w kilometrach, albo lepiej, ludzi którzy oceniają od 0 do 20 z ludźmi, którzy oceniają od 9 do 11. Kompetencję mierzy się m.in. według stopnia finezji

1 PSU, partia została rozwiązana w 1989 r. – przypis tłumacza

percepcji (tak samo jest w estetyce, niektórzy są w stanie odróżnić pięć lub sześć różnych stylów tego samego malarza). W tym porównaniu można posunąć się jeszcze dalej. W kwestii percepcji estetycznej najpierw pojawia się warunek pozwalający: ludzie muszą wyobrazić sobie dzieło sztuki jako dzieło sztuki; kiedy już spostrzegą je jako dzieło sztuki, muszą posiadać kategorie percepcji, by je skonstruować, ustrukturuować, itd. Załóżmy pytanie sformułowane w następujący sposób: „Czy jesteś za edukacją autorytarną czy antyautorytarną?”. Dla niektórych pytanie to wynika z polityki, reprezentacja relacji rodzice–dzieci integruje się w systematyczną wizję społeczeństwa; dla innych to kwestia natury czysto moralnej. W konsekwencji ankiet, którą wypracowaliśmy i w której pytamy ludzi, czy dla nich przeprowadzenie strajku bądź nie, noszenie długich włosów, uczestniczenie w festiwalu muzyki pop, to polityka, odsłania bardzo duże rozwarstwienie w zależności od klas społecznych.

(...)

Sondaż jako narzucona tożsamość

Efekt narzucenia problematyki, efekt generowany przez każdy sondaż opinii i każdy egzamin polityczny (począwszy od wyborów) wynika z faktu, że pytania zadawane w sondażu nie są pytaniami, które zadają sobie wszystkie przepytywane osoby, a odpowiedzi nie są interpretowane w zależności od problematyki, w oparciu o którą różne kategorie respondentów efektywnie odpowiedziały. Zatem dominująca problematyka, której odzwierciedleniem jest lista pytań zadawanych przez ostatnie dwa lata przez instytuty sondaży, to znaczy problematyka, która interesuje w zasadzie głównie ludzi trzymających

władzę, chcących być poinformowanymi na bieżąco o środkach służących do organizacji swoich działań politycznych, jest w bardzo nierównym stopniu opanowywana przez różne klasy społeczne. Oraz, a to rzecz istotna, owe klasy społeczne są mniej lub bardziej zdolne do wytworzenia kontrproblematyki.

(...)

Kontrproblematyka może istnieć dla niektórych intelektualistów, ale nie posiada siły społecznej, mimo iż została podchwyciona przez wiele partii i ugrupowań. Prawda naukowa jest bowiem poddana tym samym prawom przenikania co ideologia. Propozycja naukowa jest jak bulla papieska na temat kontroli narodzin. Przekonuje tylko przekonanych. Najczęściej wiąże się ideę obiektywizmu w sondażu z faktem zadawania jak najbardziej neutralnych pytań, by dać wszystkie szanse wszystkim odpowiedziom. Tak naprawdę sondaże byłyby bliższe temu, co dzieje się w rzeczywistości, gdyby, przekraczając całkowicie zasady „obiektywizmu”, dać ludziom możliwość usytuowania się tak, jak sytuują się w rzeczywistej praktyce, czyli w oparciu o już dawno sformułowane poglądy; gdyby, zamiast powiedzieć np.: „Są ludzie przychylni kontroli narodzin oraz inni, którzy są temu nieprzychylni, a pan/pani?”, wyodrębnić serię wyraźnych stanowisk grup upoważnionych do ich sformułowania i je rozpowszechnić, tak aby ludzie mogli się pozycjonować wobec już udzielonych odpowiedzi. Mówi się powszechnie o „stanowiskach”; istnieją stanowiska, które zostały już przewidziane, i my je przyjmujemy. Ale nie przypadkowo. Przyjmuje się postawy, do których przyjęcia jest się predysponowanym w zależności od pozycji, którą się zajmuje na określonym polu. Rygorystyczna analiza ma na celu wytłumaczenie relacji między struk-

tura postaw do przyjęcia oraz strukturą obszaru postaw obiektywnie przyjmowanych. Jeśli sondaże tylko bardzo słabo wychwytyją wirtualne stany opinii, a bardziej precyzyjnie, przesunięcia opinii, wynika to, m.in., z tego, że sytuacja, w której je wychwytyją, jest całkowicie sztuczna. W sytuacjach, w których wytwarza się opinia, szczególnie sytuacjach kryzysu, ludzie są konfrontowani z poglądami już sformułowanymi, poglądami wspieranymi przez ugrupowania, tak że wybieranie między poglądami oznacza wybieranie między ugrupowaniami. Na tym polega efekt polityzacji wywołany przez kryzys: trzeba wybierać między ugrupowaniami, które są zdefiniowane politycznie, oraz definiować coraz to kolejne stanowiska na podstawie zasad czysto politycznych. W sumie, co mi się wydaje ważne, sondaż traktuje opinie publiczną jak zwyczajne zsumowanie opinii indywidualnych, zebranych w sytuacji w gruncie rzeczy izolacji, w której jednostka wyraża pośpieszenie w izolacji pogląd izolowany. W rzeczywistości jednak opinie to relacje sił, a relacje opinii to konflikty sił między ugrupowaniami.

(...)

Opinia publiczna, czyli czyja?

Biorąc pod uwagę, że w ramach procesu wyborczego zadaje się tylko jedno pytanie synkretyczne, mimo iż w rzeczywistości trzeba by zadać ich co najmniej dwieście; że jedni mierzą w centymetrach, drudzy w kilometrach, że strategia kandydatów polega na tym, by źle zadawać pytania i starać się ukryć podziały tak, by zdobyć głosy chwiejne, i wiele innych efektów, dojdziecie być może do wniosku, iż należy wręcz odwrotnie zadać tradycyjne pytanie o stosunek między sposobem głosowania

a klasą społeczną i zastanowić się, dlaczego mimo wszystko istnieje relacja, nawet jeśli słaba. Warto także zastanowić się nad funkcją systemu wyborczego, instrumentem, który poprzez swą logikę ma tendencję do łagodzenia podziałów i konfliktów. Jedno jest pewne: że badając sposób działania sondaży, można wyciągnąć wnioski co do sposobu działania specyficznego rodzaju ankiety, którym jest proces wyborczy, oraz efektu, który wywołuje.

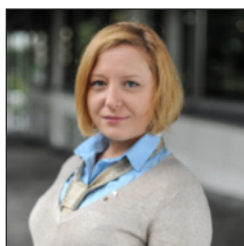
Krótko mówiąc, chciałem powiedzieć, że opinia publiczna nie istnieje. W każdym razie w tej postaci, jaką przypisują jej ci, którzy mają w tym żywotny interes. Wspomniałem, że istnieje część opinii już ukonstytuowanych, zmobilizowanych oraz grupy nacisku powstałe wokół wyraźnie określonego systemu interesów. I z drugiej strony, dyspozycje, które z definicji nie są opinią (jeśli rozumie się przez to coś, co może powstać w ramach dyskursu i pretendować do pewnej spójności). Ta definicja opinii to nie moja opinia na temat opinii. To najzwyczajniej wytlumaczenie definicji, którą realizują sondaże, domagając się od ludzi, by zajęli stanowisko na temat opinii wcześniej sformułowanych. A potem produkując, poprzez zwyczajne zsumowanie statystyczne opinii w tenże sposób wytworzonych, artefakt, którym jest opinia publiczna. Mówię po prostu, że opinia publiczna, uznana przez tych, którzy realizują sondaże, czy tych, którzy używają ich wyników, ta opinia publiczna najzwyczajniej nie istnieje.

Tłumaczyła Aleksandra Rybińska

Przełożyliśmy na język polski i publikujemy niniejszy tekst za życzliwym pozwoleniem wydawcy pisma „Les Temps Modernes” (Czasy nowoczesne) posia-

dającego do niego prawa autorskie. To exposé, które słynny francuski socjolog Pierre Bourdieu wygłosił w styczniu 1972 r. w Centrum Kultury Noroit w Arras, na południu Francji. Zostało ono następnie opublikowane w „Les Temps Modernes” (nr 318, styczeń 1973, ss. 1292–1309) W exposé Bourdieu, twórca teorii

przemocy symbolicznej, odwołuje się do społecznych i politycznych zmian zachodzących wówczas we Francji, niemal cztery lata po wybuchu Ruchu 1968, m.in. do wielkiej reformy szkolnictwa wyższego powszechnie znanej jako ustawa Faure (Loi Faure). Lead i śródtytuły pochodzą od redakcji „NK”.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Sondażowe placebo



MACIEJ GURTOWSKI

stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
socjolog

Każdemu oszacowaniu statystycznemu towarzyszy pewna niepewność. I właśnie ta nieodłączna niepewność sprawia, że dane statystyczne są wygodnym materiałem propagandowym.

Kto kogo buja?

Winston Churchill, słynący z wielu przenikliwych spostrzeżeń na temat świata polityki, powiedział kiedyś: „Wierzę tylko tym statystykom, które sam fałszuję”. W tym krótkim cytacie zawarte są trzy ważne informacje. Dwie są czytelne już na pierwszy rzut ucha: po pierwsze, statystyki są fałszowane, po drugie, ponieważ są fałszowane, nie należy im ufać. Równocześnie Churchill w swoim spostrzeżeniu odróżnił informacyjną funkcję danych statystycznych od ich funkcji propagandowej. Wierzyć badaniom można, i owszem, ale własnym. Dlatego poważne partie polityczne polegają na swoich ośrodkach opracowujących prognozy wyborcze. Należy tu podkreślić, że czym innym jest zamówienie sondażu wyborczego, a czym innym jest upublicznienie jego wyników. Czy lokalny oligarcha ma interes, by ujawnić, że jego sympatia do danego kandydata ma proveniencję statystyczną? Raczej będzie on tłumaczył mediom, że do kandydata przekonała go zbieżność poglądów

czy też wspólna troska o dobro miasta. Ośrodki badań społecznych nie mają obowiązku ujawniania ani roboczych wyników badań, ani tożsamości zlecniodawców. Między zbadaniem jakiegoś stanu rzeczy a opublikowaniem informacji o wynikach badania znajduje się przepaść wyznaczająca przestrzeń do manipulacji. Należy naturalnie pamiętać, że statystyczne badania próbkowe są potężnym narzędziem analitycznym i prognostycznym, pozwalającym na uzyskiwanie względnie niedużym nakładem sił i środków informacji o znaczeniu krytycznym dla polityki, biznesu, wojskowości czy medycyny (chcących przekonać się o możliwościach prostego algorytmu statycznego zachęcam do zabawy z Akinatorem). Jednakże każdemu oszacowaniu towarzyszy, większa lub mniejsza, niepewność. I właśnie ta nieodłączna niepewność sprawia, że dane statystyczne są wygodnym materiałem propagandowym.

Dla polityków odwołanie się do woli ludu, którą ma odzwierciedlać wynik badania opinii, może pełnić funkcję legity-

mizującą. Jednocześnie politycy boją się wiążącego głosu demosu – referendum. Wyniki referendum mają trudno podważalny status. Można ewentualnie oskarżyć konkurencję polityczną o fałszerstwo wyników głosowania. Natomiast dane statystyczne, zwłaszcza z badań próbkowych, mają charakter bardziej konwencjonalny, podatny na interpretacje i manipulacje. W razie potrzeby politycznej niewygodne wyniki z badania opinii można łatwiej zdezawuować niż wyniki referendum.

Manipulacja danymi statystycznymi na potrzeby polityki błędnie w zestawieniu z nadużyciami mającymi miejsce w badaniach medycznych. Zanim jakiś lek dopuści się do obrotu, trzeba zbadać, po pierwsze, skuteczność jego działania, po drugie, wywoływane przez lek skutki uboczne. Koncerny farmaceutyczne testują swoje produkty na kilkutysięcznych (czasem większych) próbach ochotników, którzy dorabiają sobie na tej specyficznej hazardowej rozgrywce, w której wygrana jest wynagrodzeniem, przegrać zaś można zdrowie. Znanym, lecz nieodmiennie fascynującym zjawiskiem w badaniach skuteczności produktów medycznych (leków, metod terapii) jest efekt placebo. Bodziec medycznie obojętny może mieć trwały i obiektywny wpływ na stan zdrowia pacjenta. Skuteczność placebo waha się w zależności od typów schorzeń. W terapiach dolegliwości o bardziej subiektywnym wymiarze, np. w leczeniu bólu, skuteczność placebo może wystąpić nawet u kilkunastu pacjentów na stu badanych.

Po sondażach ich poznać

Wracając jednak do statystyki w polityce. Po czym poznać, że jakiś kandydat liczy się w wyborach? Po tym, że jest uważany

za liczącego się. Skąd wiadomo, że jest za takiego uważany? Bo ma poparcie w sondażach. Kto go umieścił w pytaniu sondażowym? Ano, właśnie. Czym się kierują autorzy pytań w sondażu? Orientacją w sytuacji politycznej czy oczekiwaniem klienta? Jakimi kryteriami kierują się dziennikarze wybierający spośród polityków tych ważnych, czyli takich, których warto zaprosić do studia? Owe decyzje mają proveniencję subiektywną. Opierają

Dla polityków odwołanie się do woli ludu, którą ma odzwierciedlać wynik badania opinii, może pełnić funkcję legitymizującą. Jednocześnie politycy boją się wiążącego głosu demosu – referendum

się na wyobrażeniach, często bardzo nietrafnych i fałszywych. Jednakże, tak jak w przypadku placebo, nawet fałszywe wyobrażenia często miewają obiektywne konsekwencje. Zasugerowanie, że kandydat czy stronnictwo ma szansę w wyborach, jest jak utrwalenie u poddanego działaniu placebo pacjenta skojarzenia między obojętną substancją a obiektywnym skutkiem.

Skąd wyborcy czerpią wiedzę na temat tego, na kogo głosować? Prawdopodobnie w przeszłości większe znaczenie miały opinie i postawy kształtowane poprzez interakcje w otoczeniu rodzinnym, sąsiedzkiem. Dziś w społeczeństwie, w którym

istotna część obywateli ma problem z podaniem imion swoich sąsiadów, za to potrafi wymienić personalia byłych mężów jakiejś celebrytki, postawy i wyobrażenia podsuwane są zaś oczywiście przez media.

Gra wyborcza toczy się m.in. o to, kto zostanie w dyskursie medialnym zdefiniowany jako kandydat, który się liczy. Pewnym obiektywnym wymiarem szans wyborczych kandydata są jego zasoby, nie tylko finansowe, lecz także np. wsparcie członków młodzieżówki partyjnej, która mogłaby zrywać plakaty konkurencji. Na tym polega idea wyborów, że chętnych posiadających owe „obiektywne” zasoby zwykle jest więcej niż miejsc do obsadzenia. W tym kontekście kluczowego znaczenia nabiera walka o zdefiniowanie tego, kto się liczy najbardziej; między jakimi kandydatami czy stronnictwami toczy się poważna walka polityczna. Zainspirowanie i utrwalenie takich wyobrażeń będzie miało wpływ na horyzont decyzyjny wyborców. Pierwszym zadaniem propagandzistów jest wskazanie, spośród kogo wyborca może wybierać. Zwyczajnie zapelowanie, by na kogoś nie zwracał uwagi, jest równie karkołomne, co zakazanie mu myślenia o różowym słoniu. Negatywny przekaz to wszak także przekaz, od którego trudno swoją świadomość uwolnić. Wycofanie jakiegoś kandydata czy stronnictwa z grona podmiotów liczących się politycznie należy wykonać subtelniej – najlepiej poprzez zastąpienie kimś innym, do czego walenie mogą się przyczynić w odpowiednich momentach publikowane wyniki sondaży. Podobnie Charles Duhigg, autor bestsellera „Potęga nawyku”, radzi, by próbując zerwać z jakimś niepożądanym przyzwyczajeniem, nie powstrzymywać się po prostu od niego, ale by zastąpić je innym, bardziej pożądanym nawykiem.

Jak to się robi w Polsce?

Doskonałym przykładem przewrotu na polskiej scenie politycznej, podczas którego jeden z kluczowych kandydatów zgrabnie wskoczył na miejsce innego, były wybory prezydenckie roku 2005. Jeszcze w lipcu liderem prognoz wyborczych był Włodzisław Cimoszewicz, którego najpoważniejszym rywalem był Lech Kaczyński. Donaldowi Tuskowi sondaże dawały wtedy ok. 10 proc., tyle samo, co Andrzejowi Lepperowi. Pod koniec sierpnia, w następstwie tzw. afery Jaruckiej, odnotowywane w sondażach poparcie dla Cimoszewicza zaczęło się gwałtownie kurczyć. Mimo że oskarżenia wobec kandydata lewicy szybko zostały dezawuowane, były premier nie odzyskał już swojej pozycji w sondażach. Jego miejsce zajął Donald Tusk, którego odnotowywane w badaniach poparcie urosło nagle z dziesięciu do dwudziestu kilku procent. Kluczowe znaczenie miał fakt, że dotychczas dominująca linia podziału politycznego przebiegała między opcją solidarnościową a postkomunistyczną. Zaskakujące było to, że Cimoszewicza na pozycji kandydata postkomunistycznego nie zastąpili inni kandydaci lewicy: Marek Borowski i Jerzy Szmajdziński. Ówczesny Tusk niewiele różnił się w swojej narracji od Kaczyńskiego. Mało kto dziś pamięta, że obecny premier postulował wtedy bezpardonową walkę z układem. Trudno uwierzyć, by postkomuniści tak łatwo pogodzili się z wyeliminowaniem swojego kandydata z rywalizacji o fotel prezydencki. Nawiasem mówiąc, „afery Jaruckiej” nosiła znamiona kombinacji operacyjnej rozpisanej i koordynowanej jednocześnie na wielu poziomach.

Nieredukowalną miarą możliwości politycznych stronnictwa czy kandydata

są majątek oraz liczba szabel. Tak jak poddanemu działaniu placebo pacjentowi amputowana noga nie odrośnie, tak samo pompowanej w sondażach partii trudno ugrać na samej propagandzie więcej niż kilkanaście procent. Ale nawet te kilka, kilkanaście procent może wystarczyć, by wyrzucić do góry nogami scenę polityczną. Warto tutaj podkreślić, że niepewność sondaży wyborczych ma wystandaryzo-

wany wymiar i najczęściej dotyczy 3 proc. statystycznego błędu oszacowania oraz 5 proc. ryzyka niereprezentatywności próby. W polskiej arytmetyce wyborczej 3 proc. to mieć albo nie mieć subwencji dla partii z budżetu państwa, zaś 5 proc. to być albo nie być w Sejmie RP. W rywalizacji o prezydenturę liczy się nawet pojedynczy głos.

„Polska 49”, czyli Millera strzał w dziesiątkę



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Nie jestem przekonany, czy w Polsce powinno być akurat 49 województw. Jednak samo zniesienie powiatów i urzędów wojewódzkich w obecnej postaci to pomysł, któremu można tylko przyklasnąć.

Odzyskujący siły SLD zaczął podwójną kampanię wyborczą pod hasłem powrotu do 49 województw i likwidacji powiatów. Pomysł jest śmieszny tylko pozornie. W istocie to ze strony partii Leszka Millera nie tylko dobrze przemyślana strategia polityczna, lecz także – najroztropniejsza odpowiedź na patologie reformy samorządowej z 1999 r., jaka padła z ust ważnych polityków.

Idea „Polski 49” jest dla SLD dobra politycznie, bo otwiera mu drogę do odwojowania utraconego w owych 33 miastach elektoratu. Jeśli wierzyć ostatnim doniesieniom „Rzeczpospolitej”, Sojusz jest tam jednocześnie słaby i ma większe niż gdzie indziej szanse na odzyskanie wyborców. Co więcej, krytykując nierównomierne dzielenie środków pod rządami PO-PSL – z uprzywilejowaniem obecnych miast wojewódzkich i ze szkodą dla mniejszych ośrodków – Miller ma szanse zapunktować w całej Polsce prowincjonalnej. Gdzie mieszka – o czym często zapominamy – większość z nas.

Trudno nie zauważyć przy okazji, że SLD przejmuje także w ten sposób zarzucone hasła PiS. W 2010 r. to partia Jarosława Kaczyńskiego ożywiła ideę „Polski solidarnej” koncepcją finansowego dowartościowania prowincji. Przeciwwstawiając ją „Polsce liberalnej”, rozumianej tym razem jako Polska metropolitarna. I choć PiS wtedy przegrało, to zdobyło tym sympatię wielu wyborców. Co jednak ważniejsze, pomysł powrotu do stanu sprzed reformy samorządowej z 1999 r. jest jak powiew świeżego powietrza w zatechłej od tematów zastępczych polskiej debacie. Nie przypominam sobie ze strony głównych graczy politycznych dalej idącej propozycji ustrojowej od czasu debaty o „IV Rzeczypospolitej”.

Próby redukcji sprawy do neogierkowszczyzny pokazują tylko niemoc intelektualną obrońców reformy samorządowej, którą zafundowała nam przed piętnastoma laty koalicja AWS-UW. Była to bowiem zmiana fatalna. Dlaczego? Po pierwsze, stworzono wtedy na koszt po-

datników ponad 300 powiatów, bez jasnego wskazania po co. Zwolennicy tego rozwiązania do dziś nie potrafią przekonująco wyjaśnić, dlaczego obowiązków powiatów nie mogłyby – jak przez wiele lat wcześniej – wykonywać gminy i województwa. Co gorsza, ich kompetencje się krzyżują, prowadząc do konfliktów, za których rozwiązywanie odpowiada (teoretycznie) słaby i przeciążony rząd. Przykład? Zarządzenia porządkowe na tym samym terenie może jednocześnie wydawać zarówno powiat, jak i gmina.

Po drugie, likwidacja starych urzędów wojewódzkich okazała się fikcją. W tym sensie, że zostały one przekształcone jedynie w główne i zamiejskowe: w tych samych budynkach, z tymi samymi – opłacanymi przez podatników, a hojnie rozdawanymi przez partyjnych bossów – etatami itd.

Po trzecie, wbrew założeniom, za tą – głęboko patologiczną – decentralizacją nie tylko nie poszło zmniejszenie zatrudnienia w administracji centralnej, ale wręcz przeciwnie: nastąpił jej rozrost. Po chwilowym zmniejszeniu w 10 lat po reformie liczba urzędników centralnych była większa niż przed nią (133 do 126 tys.) – i nadal rośnie. Równolegle pula etatów samorządowych wzrosła ze 186 do 308 tys.

Po czwarte, nikt nigdy nie podał wiarygodnego szacunku kosztów tej całej zabawy w decentralizację w wykonaniu okrągłostołowych elit. Sami architekci tego kuriozum różnili się w podawanych kwotach, od 50 do 670 (sic!) mln zł, co przypomniał niedawno prof. Witold Kieżun,

samemu szacując ten koszt na około miliard. Chodzi jednak o samo utworzenie nowych struktur. Jeśli wziąć pod uwagę, że tylko etaty w powiatach ziemskich kosztowały nas w 2010 r. 182 mln zł, to będzie jasne, że po uwzględnieniu innych czynników w ciągu kilkunastu lat otrzymalibyśmy grube miliardy.

Próby redukowania sprawy do neogierkowszczyzny pokazują tylko niemoc intelektualną obrońców reformy samorządowej

Zatem cała ta tzw. reforma samorządowa była i jest kolejną gigantyczną patologią III RP. Nic nie wiemy o korzyściach z niej dla dobra wspólnego. Choć nie znamy dokładnego kosztu, to wiemy, że słono za nią płacimy. Czy nie jest jasne, że z rozdawnictwa rosnących jak grzyby po deszczu państwowych etatów korzyści czerpią wyłącznie niezliczone sitwy i kliki, partyjne oraz biurokratyczne? Czy nie jest smutnym i paradoksalnym potwierdzeniem nędzy naszej polityki to, że to skompromitowany postkomunista Leszek Miller proponuje dziś likwidację tej patologii? Wcale nie jestem przekonany, czy w Polsce powinno być akurat 49 województw. Jednak samo zniesienie powiatów i urzędów wojewódzkich w obecnej postaci to pomysł, któremu można tylko przyklasnąć.

Łotwa ucieka w euro



ŁUKASZ CZERNICKI

Ekonomista,
ekspert w zakresie polityki monetarnej i makroekonomii

Przystąpienie Łotwy do strefy euro jest podyktowane krótkoterminową kalkulacją. Ruch ten ma zmniejszyć ryzyko załamania się tamtejszego systemu bankowego pod ciężarem długów zaciągniętych w obcych walutach.

Od 1 stycznia Łotysze pożegnali się z łatem i przyjęli euro. Pojawiające się w prasie argumenty przemawiające za tym krokiem podkreślają często, że zmiana waluty zwiększy handel oraz inwestycje zagraniczne. Przeciwnicy euro straszą z kolei nagłym wzrostem cen. Oba sposoby argumentacji zdają się jednak nie do końca poprawne, gdyż nie potwierdzają ich dotychczasowe doświadczenia krajów, które do strefy euro wstąpiły. Nie nastąpiło w nich przesadnie gwałtowne ożywienie handlu, nie wzrosła też lawinowo liczba inwestycji zagranicznych. Podwyżki cen nie było zaś w ogóle lub była drobna i jednorazowa.

Jeśli więc nie handel, i nie inwestycje, to co skłoniło Łotwę do przyjęcia euro? Sądzę, iż decydujące znaczenie miała chęć zmniejszenia ryzyka załamania się systemu bankowego. Jest to bowiem kraj, którego mieszkańcy zaciągnęli najwięcej w Europie Środkowo-Wschodniej kredytów (głównie mieszkaniowych) w obcych walutach (przeważnie euro). Sprzyjał temu stabilny przez wiele lat kurs łata wobec euro.

W efekcie w 2010 r. 90 proc. wszystkich kredytów zaciągniętych na Łotwie była kredytami walutowymi; dla porównania w Polsce podobny wskaźnik wynosi około 30 proc. Oznacza to, że duża część operacji prowadzonych przez łotewskie banki była finansowana przez zachodnie instytucje finansowe. W razie kryzysu spowodowanego np. upadkiem jakiegoś łotewskiego banku bądź zawirowaniami na światowych rynkach zagraniczne instytucje mogłyby odmówić finansowania zaciągniętych na Łotwie kredytów na dotychczasowych warunkach. To zaś naturalnie wytworzyłoby w całym systemie bankowym tego niewielkiego państwa swoistą reakcję łańcuchową, mogącą w efekcie prowadzić do kryzysu walutowego. Po wstąpieniu do strefy euro podobne ryzyko zniknie.

Łotwa została bardzo ciężko doświadczona przez kryzys w 2008 r., jednak dzięki szybkim i zdecydowanym działaniom jej gospodarce udało się osiągnąć nader obiecujące wskaźniki. Obecnie, stanowiąc na nogi, Łotwa postanowiła zaś niejako uciec w euro. Krótkoterminowo

ma to niewątpliwie sens. W dłuższej perspektywie Ryga może jednak ponieść przykre konsekwencje ewentualnego rozpadu bądź uszczuplenia całej europejskiej strefy walutowej, która, jak wiadomo, jest daleka od stabilności. Niewykluczone też, że mogą się na Łotwie pojawić problemy podobne do tych, w które wpadły napompowane tanimi kredytami gospodarki krajów południowo-europejskich. Należy jednak podkreślić, że obecnie, po greckich, hiszpańskich i portugalskich doświadczeniach inwestorzy są znacznie bardziej ostrożni, zwłaszcza zaś jeśli chodzi o rynek mieszkaniowy. Tak czy inaczej, kraje, w których rynek kredytów nie został zupełnie zdominowany przez obce waluty,

W 2010 r. 90 proc. wszystkich kredytów zaciągniętych na Łotwie była kredytami walutowymi; dla porównania w Polsce podobny wskaźnik wynosi 30 proc.

nie powinny tak jak Łotwa spieszyć się ze wstępowaniem do strefy euro. Warto jeszcze poczekać i popatrzeć.

Zbroimy się bez strategii



TOMASZ SZATKOWSKI

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
prezes Narodowego Centrum Studiów Strategicznych

Polska armia kupuje na potęgę, zamierza jednak inwestować w zbyt wiele nowych technologii naraz. Brak czytelnej koncepcji rozwoju oznacza zaś, że w żadnym z obszarów nie zbudujemy wyraźnych atutów.

Dawno już nasza publiczna debata nie była tak zmilitaryzowana jak obecnie. Zdaniem prasy nawet nieskory do sympatii do wojska premier Donald Tusk polubił fotografowanie się czy to na tle F-16, czy na tle ciężkich armatohaubic Krab. Co więcej, przez chwilę nieco buńczuczna deklaracja budowy „Polskich Kłów” stała się częścią rządowego PR. Piszący te słowa, naturalnie, uznaje, że istnieją dobre powody do poświęcenia większej uwagi naszemu Siłom Zbrojnym. Większy zakres debaty na ten temat świadczy również o dorastaniu naszej demokracji. Polski demos zachowuje się w tej kwestii znacznie dojrzałej niż reszta Europy. Niemniej warto przeanalizować, co tak naprawdę dzieje się w naszym obronnym establishmentie i czy rzeczywiście mamy do czynienia z rewolucją w tej sferze.

Pozorna zapobiegliwość

Oslawiona już suma 140 mld zł na zakupy uzbrojenia w ciągu dekady robi wrażenie na wielu, nie tylko zresztą w Polsce. Jest

odbierana z pewną zazdrością także przez analityków obronnych i polityków w wielu sąsiednich krajach. Jeśli weźmiemy pod uwagę całość planowanych na ten okres polskich wydatków obronnych, ujrzymy sumę niewiele odległą od zaplanowanych na ten okres dla Polski Funduszy Strukturalnych UE. Czy może to świadczyć o traktowaniu przez rząd spraw wojska w bardziej poważny sposób? Tak naprawdę podwaliny pod obecny wzrost zostały położone wraz z międzypartyjnym kompromisem wokół stałego poziomu finansowania Sił Zbrojnych (1,95 proc. PKB) w ramach tzw. Planu Komorowskiego (2001). Istotą było dążenie do wykonania przyjętego w ramach NATO (choć często nierespektowanego przez europejskich sojuszników) założenia alokowania 2 proc. PKB rocznie na obronność. W ten sposób przyjęto w Polsce unikalną na tle Europy ustawę mającą gwarantować poziom wydatków na przyzwoitym poziomie. Z czasem zaczęto manipulować tą formułą, zmieniając sposób liczenia wydatków poprzez wrzucanie różnych wątpliwych ka-

tegorii czy też odnoszenie odsetka PKB do roku poprzedniego. W kategorii ignorowania przepisów ustawy palma pierwszeństwa należy się jednak obecnemu rządowi, który na ten rok zawiesił nawet ustawowo funkcjonowanie tej formuły. W sumie, jak podsumował ostatnio kmdr rez. Maksymilian Dura, MON zwrócił w ciągu ostatnich sześciu lat niewydane 11 mld zł przeznaczonych pierwotnie na zakupy uzbrojenia. Ta suma to prawie równowartość zakupu naszej floty F-16 dokonanego przed dekadą. W efekcie więc i biorąc pod uwagę różnice w metodologii, polskie wydatki to realnie ok. 1,8 proc. PKB rocznie. Mimo to większość szefów resortów obrony państw europejskich może pozazdrościć swojemu polskiemu koledze relatywnej stabilności poziomu finansowania. Co więcej, jako konsekwencja wzrostu PKB i realne wydatki polskiego MON wzrosły w ciągu okresu obowiązywania ustawy „1,95 proc.” o ponad połowę, podczas gdy u naszych zachodnich partnerów zatrzymały się lub znacznie częściej spadły. Z drugiej strony warto zauważyć, że gospodarki Stanów Zjednoczonych i Rosji wytrzymują ponaddwukrotnie, a izraelska nawet trzykrotnie większe obciążenie wydatkami militarnymi. Nawet na tak krytykowanym za krótkowzroczną niechęć do zbrojeń kontynencie europejskim Francja i Wielka Brytania wydają nieco większą część swojego PKB. Tak więc Polska błyszczy pozytywnym światłem głównie w wyniku mizerii budżetów obronnych większości innych członków UE. Zapewne jeszcze mniej różowo przedstawia się efektywność tych wydatków. Szczególnym dowodem na to może być fakt, że tegoroczne obcięcie budżetu MON odbyło się bez większych protestów z uwagi na świadomość kierownictwa MON, iż w innym wypadku

resort i tak na koniec roku zwróciłyby większość z tych pieniędzy do budżetu.

Modernizacja na chybił trafił

Czym więc wyróżniają się obecne priorytety dla zaplanowanych wydatków MON? Przede wszystkim większość dokumentów tego rodzaju sporządzanych do tej pory przez MON była tak naprawdę jak groch z kapustą – zbiorem listy uzgodnionych życzeń wpływających z poszczególnych rodzajów sił zbrojnych i broni. Na plany zbrojeniowe możemy spojrzeć w bardziej przejrzysty sposób jedynie dzięki obowiązkom dokumentacyjnym nałożonym na nasz kraj przez NATO. Należy do nich 10-letni kroczący (uaktualniany w odstępie dwuletnim) plan modernizacji technicznej sił zbrojnych. MON nie posiada jednak spójnego, wszechstronnego systemu planowania, programowania i budżetowania, w którym analizuje się potrzeby i w oparciu o rygorystyczną analizę kosztu do efektu dopasowuje rozwiązanie techniczne i organizacyjne. Podobnie w pewnym stopniu jest z ostatnią edycją z grudnia 2012 r. W odróżnieniu od lat poprzednich kładzie ona większy nacisk na wydatki mające służyć przygotowaniu do klasycznej wojny (w domyśle: w obronie terytorium naszego kraju) niż zadaniom związanym z zamorskimi, najczęściej okupacyjnymi misjami). Jedyne jednak obszary tych planów, w ramach których możemy mówić o jakimś potencjalnie przełomowym efekcie dla zdolności naszych Sił Zbrojnych, to tzw. Polska Tarcza Antyrakietowa i poszukiwanie zdolności do odstraszenia tzw. Polskich Kłów. Warto jednak zwrócić uwagę, że tzw. Tarcza jest po prostu modernizacją systemu obrony powietrznej i nadaniem mu zdolności do zwalczania celów rakietowych, nawet jeśli będą jej towarzyszyły

zmiany w systemie dowodzenia i logistyki. Ciekawszą kwestią będzie uderzeniowy aspekt, nieco buńczucznie proklamowanej, strategii odstraszenia. Jej celem jest najwyraźniej niedopuszczenie do bezkarnego rażenia terytorium naszego kraju zarówno bronią konwencjonalną, jak i nuklearną. Jak na razie jednak wybrano tylko najprostszą, ale i najbardziej ryzykowną koncepcję dozbrojenia naszych F-16 w dalekosiężne supernowoczesne pociski JASSM. Problem polega jednak na tym, że nawet ponadtrzystukilometrowy zasięg tych pocisków jest mniejszy od zasięgu obecnie wprowadzanych najnowocześniejszych rosyjskich systemów obrony powietrznej. Po drugie, oparcie naszego „odstraszenia” jedynie o te pociski można dość łatwo zniweczyć, doprowadzając do zniszczenia/wyłączenia baz Jastrzębi. W tak wrażliwej i strategicznie ważnej kwestii należy przeprowadzić dogłębne i całościowe analizy, zarówno skuteczności w świetle celu, jak i efektywności kosztowej poszukiwanego rozwiązania.

Chęć pewnej radykalnej zmiany znamionowała dramatyczna decyzja zaprzestania budowy korwety Gawron podjęta przez ministra obrony narodowej Tomasza Siemoniaka na początku zeszłego roku. Stała za nią dość racjonalna konstatacja, że do obrony terytorium okręty tego typu nie są najefektowniejszą inwestycją, a budowa pojedynczych okrętów zamiast serii jednostek jest po prostu nieekonomiczna. Częściową zmianę tej decyzji i kontynuację budowy Gawrona, już jako Ślązaka w znacznie tańszej wersji okrętu patrolowego, można zrozumieć, a nawet poprzeć. Niedokończenie tego okrętu byłoby bowiem demoralizujące dla resztek naszego przemysłu stocznioowego, podobnie jak kiedyś dla przemysłu lotniczego było nim skasowanie programu samolotu szkolno-

bojowego Iryda po wydaniu nań miliardów złotych. Mniej zrozumiała jest jednak decyzja o remoncie jednej z poamerykańskich fregat, która czasy świetności przeżywała, osłaniając w latach 80-tych zespoły desantowe czy lotniskowcowe.

Nie wiadomo, na czym ma się opierać nasza doktryna obronna. Czy chcemy ją oprzeć na manewrowości, przewadze informacyjnej i precyzyjnym ataku, czy też rozwiniemy nasze wojska w bardziej tradycyjny sposób, inwestując w siłę ognia, pancierz i wojska obrony terytorialnej?

Podobny brak konsekwencji widać w innych obszarach odbudowy zdolności do obrony terytorium kraju. W zasadzie nie wiadomo, na czym ma się opierać nasza doktryna obronna. Czy chcemy ją oprzeć na manewrowości, przewadze informacyjnej i precyzyjnym ataku, czy też rozwiniemy nasze wojska w bardziej tradycyjny sposób, inwestując w siłę ognia, pancierz i wojska obrony terytorialnej? Jasnej odpowiedzi trudno szukać w programie modernizacji. Polska zamierza inwestować zarówno w obronę powietrzną, budowę sieciocentrycznego systemu zarządzania polem walki, odnowienie wojsk pancernych oraz artylerii, zakup floty nowych śmigłowców transportowych i wiele innych sektorów zdolności obronnych.

Brak czytelnej koncepcji oznacza, że w żadnym z obszarów nie zbudujemy wyraźnych atutów. Objawem niedostatku, a być może niechęci wobec przyznania się do błędów, jest brak na razie wyraźnych kroków zmierzających do przełamania problemów wiążących się z brakiem rezerw osobowych dla naszych sił zbrojnych. Ta kwestia nabiera szczególnej wagi w razie konieczności prowadzenia działań wojennych, a źródłem wspomnianego problemu jest pochopna decyzja o tzw. profesjonalizacji sił zbrojnych, która była jednym z haseł wyborczych PO w 2007 r.

Brak koordynacji

Decyzja o zakupie o kolejnej partii używanych Leopardów 2 ilustruje z kolei inne problemy, związane z krótką perspektywą i małą wszechstronnością podejmowanych decyzji. Może też być w pewnym sensie prognostykiem tego, jak będzie wyglądać wykonanie ambitnych planów zbrojeniowych i związanych z tym obietnic dla krajowej zbrojeniówki. Prawdopodobnie z punktu widzenia krótkoterminowego interesu naszej siły obronnej to decyzja dobra. Nie ma dostępnych tak szybko innych czołgów o tak dobrych parametrach jak Leopardy. Z drugiej jednak strony, i to kamyk do ogródka byłego już wiceministra ds. modernizacji technicznej, gen. Waldemara Skrzypczaka, należy przestać mówić o chęci tworzenia narodowego programu pancernego i ochronie krajowej bazy przemysłowej, gdyż pozostałe do zaplanowania zamówienia w tym obszarze nie stworzą wystarczającej skali, aby produkcja tych wozów odbywała się w Polsce.

Porozumienie o zakupie tych czołgów od Bundeswehry powinno było uwzględniać również relacje z niemieckim i krajowym przemysłem, a także konieczność serwisu czołgów w kraju. Co więcej, obecne plany modernizacji poprzedniej partii tych czołgów powinny były uwzględnić nabywaną obecnie transzę. Rosną więc obawy, że los realizacji obecnych planów zakupowych będzie zależał od determinacji w jego koordynowaniu z rozwojem zbrojeniówki. Jeśli nie będzie ona wystarczająca, opóźni się wykonanie zakupów. Po prostu obecnie zaległości w konsolidacji państwowych spółek zbrojeniowych, a także nieumiejętność koordynacji działań tego rodzaju uniemożliwią szybkie wykonanie takich skomplikowanych planów. Bardziej prawdopodobne jest to, co się stało z Leopardami – wykonanie zakupów z „zagranicznej półki” i porzucenie planów rozwijania krajowych zdolności badawczych i produkcyjnych, co zostanie umotywowane względami bezpieczeństwa narodowego. Ten model w kontekście rozmieszczenia nad granicą Polski rosyjskich rakiet Iskander może dotyczyć w pierwszym rzędzie planu budowy tarczy. Świadczy o tym także przeniesienie kompetencji w zakresie offsetu z Ministerstwa Gospodarki do MON. Dotychczasowe doświadczenie pokazuje bowiem, że resort obrony nie ma wystarczającego interesu w stawianiu wymagań offsetowych.

Jak więc widać, główne pozytywne zmiany w polskiej obronności to powrót do inwestycji w obronę terytorium kraju. Trudno jednak mówić o rewolucji, zarówno w zakresie rozmachu, jak i sposobu wykonania tego priorytetu.

Książka Zmęczona



PIOTR WOYKE

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Być może nie należy mieć pretensji o to, że ktoś stworzył coś niezgodnego z naszymi oczekiwaniami. Niemniej „Zmęczona. Rzec o kryzysie Europy Zachodniej” Marka Magierowskiego pozostawiła we mnie wielki niedosyt.

Cenię Magierowskiego jako dziennikarza. Jest on jednym z niewielu rodzimych przedstawicieli tego zawodu, którzy zajmują się polityką międzynarodową w sposób rzetelny. Świetne pióro, znajomość opisywanych tematów i zdecydowane poglądy – wszystko to powodowało, że czekałem na nową książkę redaktora z zaciekawieniem. Tym większym, że zapowiedzi wskazywały na to, iż będzie ona dotyczyć istotnego tematu – kryzysu zachodniej Europy, który wreszcie zostanie poruszony z perspektywy polskiej prawicy przez kogoś z odpowiednią wiedzą i doświadczeniem.

Wyczekiwana publikacja

Pierwszy rozdział jest wielkim ukłonem w kierunku prawicy kulturowej, co nie dziwi. Magierowski jest członkiem niedysyjszej redakcji „Rzeczpospolitej”, rozsmakowanej w wynajdywaniu przejawów absurdu kosmopolityzmu, multikulturalizmu i politycznej poprawności. Litanią podobnych opisów rozpoczyna się

opowieść o kryzysie, który osłabia najważniejsze państwa kontynentu. Piętnowanie przejawów odżywiania inżynierii społecznej to ważny element konserwatywnej tożsamości, pytanie jednak, czy nie czas na coś więcej niż epatowanie notatkami prasowymi? Załamywania rąk nad absolutnym odcięciem się od chrześcijańskiego dziedzictwa czy niewiarygodnymi decyzjami unijnej biurokracji mamy już dość na łamach tygodników i portali internetowych. Książka taka jak „Zmęczona...” powinna głębiej diagnozować, a także pokusić się o próbę propozycji rozwiązań.

Kolejne rozdziały poświęcono opisowi sytuacji konkretnych państw – Niemiec, Hiszpanii, Francji, Włoch, Wielkiej Brytanii, a także problemom multikulturalizmu i stosunków na linii Paryż–Berlin. Autor postanowił pokazać kryzys o charakterze ponadnarodowym, dotyczący państwa i społeczeństwa złączone przez jedną, kulejącą cywilizację. Zagłębiając się jednak w opis problematyki dotyczącej konkretnych przypadków, nie widzimy

żadnej próby syntezy. Wnikliwe opisy przemian zachodzących u naszych zachodnich sąsiadów czy na Półwyspie Iberyjskim zostają zrównane z opisem kampanii na rzecz legalizacji małżeństw homoseksualnych we Francji.

Trudno stwierdzić, w jaki sposób Magierowski dobierał swoje studia przypadku. Głównym kryterium wydaje się to, że są one jaskrawe i poruszające. Znacznie więcej w tym wszystkim emocji niż chłodnej analizy. Raz mamy do czynienia z problemem nastawienia do instytucji unijnych (głównie fragmenty o Wielkiej Brytanii), gdzie indziej z obyczajową regulacją ze strony państwa (Francja), zaś jeszcze w innym miejscu z nastawieniem wobec wspólnej waluty (Niemcy). Oczywiście, że wspomniane wyżej kwestie są w poszczególnych krajach poruszane z różną częstotliwością, brakuje jednak ujęć problemowych. Mielibyśmy do czynienia z tekstem znacznie ciekawszym, gdyby autor opisał więcej negatywnych zjawisk występujących na szczeblu ponadnarodowym.

Dojmujący niedosyt

Nie chcę zdradzać treści ostatniego rozdziału tym, którzy zdecydują się na lekturę, niemniej wielbiciele zaangażowanej politycznie prozy w rodzaju „Operacji Chusta” Tomasza Terlikowskiego powinni być zadowoleni. Antyutopijny opis rzeczywistości to popis wyobraźni autora, ale brakuje porządnego podsumowania. Książka staje się polityczną broszurą, która porusza serca, lecz nie zapładnia intelektualnie.

To poważny problem, gdyż tematy poruszone w „Zmęczonej...” zasługują na obszerniejszą i bardziej pogłębioną analizę. Potrzebujemy spojrzenia na kryzys wspólczesnej Europy i projektu unijnego, diag-

nozy i recepty, wypisanych z punktu widzenia Polski jako państwa, które ma pewną wagę na arenie europejskiej. Nie tylko po to, aby włączyć się w ogólnokontynentalną debatę na ten temat. Chciałoby się udowodnić, że nasze życie intelektualne nie wiąże się tylko z toczonymi bez końca debatami na dość hermetyczne tematy, co jest domeną dużej części prawicy; lub odtwarzaniem melodii ideologicznych importowanych z Zachodu, co jest z kolei specjalnością środowisk lewicowych.

Trudno stwierdzić, w jaki sposób Magierowski dobierał swoje studia przypadku. Głównym kryterium wydaje się to, że są one jaskrawe i poruszające. Znacznie więcej w tym wszystkim emocji niż chłodnej analizy

Książka Marka Magierowskiego mogła być głosem polskiego konserwatyizmu, relatywnie żywotnego na tle reszty Europy. Mogłaby odważnie mówić o tym, jak Unia może radzić sobie z kryzysem wartości. A przynajmniej, w jakim kierunku iść, by na jakieś rozwiązania natrafić. To poważne wyzwanie, do którego trzeba zaprząć więcej niż oburzenie wywołane przykładami wynaturzeń współczesnej liberalnej demokracji. Niektórzy powiedzieliby, że być może należy w ogóle przestać myśleć w kategoriach cywilizacyjnych, a skupić się na tym, jak obronić interesy Rzeczypospolitej. Trudno jednak oderwać

myślenie o przyszłości Polski od refleksji na temat przyszłości Unii Europejskiej i naszego kręgu kulturowego. Podejrzewam, że autor by się ze mną w tym zgodził – nie bez powodu podjął się napisania na ten temat książki.

Można potraktować „Zmęczoną...” jako ze swadą wyprowadzony cios w to wszystko, co współczesnych prawicowców w szeroko pojętym Zachodzie wzburza. Nie wiadomo jednak, do czego by miała

prowadzić jej lektura oprócz utwierdzenia się znacznej części jej czytelników w swoich poglądach. Owszem, „Zmęczoną...” czyta się lekko, można się jednak było spodziewać po niej znacznie więcej. Ta książka mogła i powinna być ważniejsza.

Marek Magierowski

„Zmęczona. Rzecz o kryzysie Europy Zachodniej”

Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2013

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Darczyńcy:

Czterdziestu Czterech Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski

Redakcja:

Michał Kuź (p.o. sekretarza redakcji), Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski.

Redaktor prowadzący:

Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Grzegorz Pytel, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Piotr Woyke.

Grafika (okładki):

Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Skład:

Rafał Siwik

Wydawca:

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt:

redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa